№ 26. 29. Czerwca. 1850.

TYGODNIK LWOWSKI.

PISMO LITERACKIE.

Wychodzi każdéj Soboty 1 lub 1½ arkusza. Cena kwartalna we Lwowie 1 Złr. — Na prowincyi z przesyłką pocztową 1 Złr. 15 kr. m. k. — Pieniądze przesyłaja się **bezpłatnie** pocztą wprost do księgarni K. Wilda we Lwowie, wyraziwszy na kopercie: »**Przedpłata na Tygodnik lwowski.**

Z dniem 1 Lipca zaczyna się nowy kwartał; upraszamy szan. Czytelników, jeżeli nie chcą doznać przerwy w odbieraniu Tygodnika, aby przedpłatę rychło zaliczyć raczyli.

Cieszymy się nadzieją, że wzgląd na położenie narodowości usprawiedliwi odezwanie się nasze do sumienia obywatelskiego ziomków naszych, aby nam byli pomocni na drodze piśmiennictwa.

Możemy się poszczycić, iż ci którzy są w stanie własną pracą wspierać pismiennictwo, z prawdziwém poświęceniem na prożby nasze odpowiedzieli. Mamy przyrzeczony udział niektórych najznakomitszych w zawodzie pięknej literatury i krytyki pisarzy krajowych, jakoto: *Leszka Dunina Borkowskiego, K. Ujejskiego, Władysława Zawadzkiego, Zygmunta Kaczkowskiego* i innych. Mając związki z Krakowem i z za granicą zapewnieni jesteśmy i ztamtąd niemałej pomocy.

Spodziewamy się, że służby nasze niesione sprawie narodowej takim sposobem, iż nam nawet najostrzejszy rząd w drodze stanąć nie może, iż wytrwanie nasze w najtrudniejszém położeniu, i odwaga literacka w obec największych przeszkód, znajdzie uznanie w publiczności, i że ta naszemu obywatelskiemu poświęceniu zechce odpowiedzieć równąż gorliwością obywatelską, i zechce korzysta z ofiar które jej nawet najznakomitsi z naszych literatów w tém piśmie niosą.

Ogłaszając nową przedpłatę na kwartał trzeci lub też na półrocze i zapraszając do takowej przypominamy jeszcze, że prócz Tygodnika niema polskiego pisma, któreby z taką taniością wartość literacką łączyło.

O nieprzyjaźni stronnictw u nas.

Wszyscy czujemy, że w opłakanym stanie, w jakim się naród od lat tylu znajduje, potrzeba jak najściślejszego spojenia wszystkich sił narodowych, najszczerszego sprzymierzenia wszystkich stronnictw ku osięganiu jednego celu, potrzeba przedewszystkim jedności, która sama rękojmię potęgi daje. A przecież jakże trudne to zespolenie, ta jedność! Przyczyną tej trudności nie tyle samo istnienie stronnictw — gdyż bez różnobarwności zdań a tem samem i stronnictw żadne społeczeństwo się nie obejdzie; ani też mnogość stronnictw — gdyż dzięki niebu nie liczymy ich zbyt wiele pośród siebie; ale namiętna zaciętość, z jaką każde stronnictwo każdej, choćby nawet wątpliwej piędzi swojego gruntu broni, ale fanatyczne zaślepienie, posunięte do zabobonu, z jakiem każde stronnictwo każdy, choćby nawet najniewinniejszy dogmat przeciwnej strony potępia, ale wynikające z tąd obopólne nieznanie się na sobie, obopólne zapoznawanie się, a w końcu walka na oślep.

Dla zupełnej jasności musimy wymienić te stronnictwa, ostrzegając, że mowimy tylko o stronnictwach narodowych, wewnętrznych, a pomijamy zupełnie wywołane zewnętrznym wpływem stronnictwo wręcz antinarodowe, nie mające mieć prawo i możność oderwania się od całości narodu. Są to więc owe nieszczęśliwe stronnictwa arystokracji i demokracji, na jakie, Bóg wie jakiem prawem, rozszczepiły się oświeceńsze klasy narodu. Do tych należy policzyć dwa inne, które w szczególności na zachodzie i wschodzie miejscowemi okolicznościami wzbudzone, w ostatnich czasach coraz głośniej się zbroją — stronictwo rigorystycznie katolickie czy właściwie papiezkie i stronnictwo, że dawnego wyrazu użyjem, wolnomyślne. Te dwa ostatnie stronnictwa spływają się powszechnie z dwojgiem poprzednich, zresztą zaś nie ma u nas podobno żadnych innych stronnictw na *serio*.

Owoż nie zamierzając tu wchodzić w słuszność lub niesłuszność wyznania stronnictw naszych, śmiemy twierdzić, że one wszystkie są zbyt namiętne, zbyt zaślepione w so-

bie, aby się nawzajem dokładnie poznać i skutecznie, z pożytkiem dobra powszechnego, walczyć ze sobą mogły. A stan ten jest tem smutniejszy, że żadne z tych stronnictw przy obecnym absolutyzmie i terroryzmie swojej namiętności szczerze i rozumnie o przeciągnięciu całości narodu na swoją stronę, o rozbrojeniu przeciwnego zastępu myśleć nie może. Cóż więc za widok na przyszłość? Oto albo ciągłe niezdecydowane kiśnięcie narodu w samym sobie, do czego on niestety ma w swoim charakterze nazbyt wiele usposobienia — albo konieczne wreszcie wszechstronne poznanie się stronnictw nie już na swoich kardynalnych dogmatach, bo te przypuszczamy jako znane i święte każdemu stronnictwu i jako przeto odrębne przedmiotowi niniejszych uwag, lecz na zbyt namiętnym, zaślepionym, do komicznej przesady posuwającym się sposobie wyznawania dogmatów, potępiającym z góry bezwarunkowo wyznanie przeciwnej strony — przeco, jak powiedziano, walka wreszcie po większej części idzie na oślep, a wszelkie przekonanie, wszelkie zwycięztwo staje się niepodobnem.

Mniemamy przynajmniej dobrych chęci dać dowód, pokuszając się o wskazanie źródła tej skłonności do kierowania się przesadnemi uprzedzeniami namiętności, w rzeczach, o którychby tylko trzeźwa rozwaga stanowić miała. Sądzimy zaś, iż źródłem tego złego jest młodzieńcze usposobienie narodu, t. j. usposobienie dające uczuciu stanowczą przewagę nad rozsądkiem, usposobienie sercowe. Zastanówmy się tylko należycie, a poznamy, że mniemane przekonania nasze są u największej części narodu tylko mniej więcej głośnym podszeptem uczucia, że wszystkie nasze kroki, twierdzenia, czyny są w ogólności tylko uczucia manifestacją. Wmawiamy wprawdzie w siebie, że to lub owo wierzymy, czynimy z głębokiego przekonania, lecz powszednie skutki naszego postępowania przekonują nas o przeciwieństwie. Jakież to skutki? Oto iż wkrótce częstokroć żałujemy, ledwie że się nie wstydzim tego cośmy przed chwilą uczynili, w cośmy wierzyli. Oto że wkrótce, za lada przeciwnym wierze naszej, postępowaniu naszemu powiewem, zniechęcamy się do własnej wiary i do własnych postępków, tracimy wszelką nadzieję, opuszczamy ręce nieczynnie, nie umiemy być wytrwałymi. Oto że spotkawszy się z zdaniem przeciwnem, nie pojmujemy nigdy możności rozumowego różnienia się w przekonaniach przy tożsamości uczuciowych chęci, lecz szydząc z góry przedwcześnie z rozumowej słuszności zdania przeciwnego, obwiniamy, potępiamy najniesprawiedliwiej i chęci — że w starciu się z stroną przeciwną nie umiemy oddać żadnej sprawiedliwości stronie przeciwnej. Są to wszystko skutki przeważnego w nas działania krewkości uczuciowej. Gdyż tylko nieświadome uczucie — objawiające się często jako ów nieszczęśliwy *punkt honoru*, który nawet w brew sumieniu nie dozwala pozostać w tyle, gdy wszyscy swoi w jedną stronę się cisną, często jako owa dawna zuchwałość sejmikowa, co to kazała krzyknąć *Veto!*, aby się tylko przekonać, czy w Polsce jeszcze wolno przeciwnego być zdania, często wreszcie jako prosty przestrach, proste tchórzostwo — tylko takie chwilowemi, najsprzeczniejszemi popędami miotane uczucie daje się w chwili szału porwać do czynu, którego później ów *punkt honoru*, owa zuchwałość, owe tchórzostwo żałować, wstydzić się muszą. Gdyż tylko fizyczna krewkość uczucia po chwilowem wyburzeniu się słabnie, traci ufność, gnuśnieje. Gdyż tylko drażliwe, samolubne uczucie może nas tak dalece dla własnej sprawy ująć, może nas tak dalece przeciw opornej stronie rozdrażnić, iż nie jesteśmy w stanie oddać jej w czemkolwiek sprawiedliwości, potępiamy ją na oślep, bezwarunkowo. Zagrzani takiem młodzieńczem uczuciem bierzemy pierwszą lepszą zasadę nie, jak mówią, na rozum, ale do serca. Jestto rzecz piękna gdy zasady przeciwne są już dostatecznie dojrzałe, rozwinięte, lecz gdy one albo jeszcze wcale nie wyklarowane, albo są tylko z obcego targu towarem, wtedy zaprawdę nie wadzi dwa razy się namyśleć, rozważnie obejrzeć cacko. Jestto rzecz piękna w chwili wielkiego czynu, ale w życiu zdarza się więcej chwil powszednich niż świąt w niebowstąpienia, do życia ona zaprawdę nie wystarcza. Biorąc pierwszą lepszą zasadę zaraz do serca, oświadczamy się do razu jej kochankiem, coto jakimś romantycznym oczarowany urokiem, na pierwszy rzut oka w dozgonne więzy pada, ale raz tylko taką chwilę w życiu miewamy, a przez nieskończenie większą wielkość chwil — trzeba mieć rozum. Przywiązując się zaś jak kochankowie nie rozumem lecz chwilowym popędem serca do tej lub owej partyi, mającej opierać się na rozumowej zasadzie, stajemy się ślepymi na jej konieczną też ciemną, jej słabą stronę, jej niezbędną piętę achillesową. Nieuchronne piegi naszej kochanki to złote muszki, nawet jej zyz jest wdziękiem. Kto nie przyzna że nasza Dulcynea z Toboso jest jedyną pięknością świata, ten kłamcą, potwarcą, zdrajcą. Każda odporna odpowiedz naszego przeciwnika jest dla nas urazą osobistą, godzi na nasze serce, nasze życie, nasze majątki — a w takim razie wolno posunąć się obronie do zupełnej eksterminacji przeciwnika. Nienawidzimy go całą nienawiścią obrażonej miłości, rozjątrzonego serca, nienawidzimy nie tylko na mownicy, nie tylko w rozprawie dziennikarskiej, lecz w jego domowem życiu, w jego towarzystwie, w jego rodzinie. Poczytujemy sobie za obowiązek wmówić w siebie na gwałt, że to niemoże być człowiek światły, uczciwy, acz wzajem zapamiętały, lecz głupi, przewrotny, chytry, zły Polak, demagog, szpieg, kommunista. Ztąd wzajemne podejrzywanie się i posądzanie o zamiary, w które sam posądzający w duszy nie wierzy, które jednak godzi się podsuwać przeciwnikowi, aby go zdyskredytować. Ztąd rozjątrzenie się wzajemne, posuwa-

jące się do zapomnienia wszelkich obowiązków ludzkich, zachodzących pomiędzy członkami tegożsamego narodu, bez względu na różnicę ich politycznych wyobrażeń. Wzięli demagoga w rekruty? Dobrze i owszem! Żona i dzieci mogą śród narodu bratniej miłości, jak nam poeci pochlebiają, z głodu ginąć. Toć żona i dzieci demagoga. — Podpalili chłopi dziedzica, że swego pastwiska bronił? Dobrze mu tak. Toćto „Ziemianin". Ztąd istotne rozprzężenie wszelkich węzłów społeczeńskich, poniewierka wszelkich cnót społeczeńskich, upadek najsromotniejszy, bo upadek moralny.

Daje się to niestety nazbyt jaskrawo widzieć. Ale przyczynę tego zwala każde stronnictwo na stronnictwo przeciwne. Arystokrata upatruje to być skutkiem zwycięztwa zasad demokratycznych, demokrata tryumfem reakcji arystokratycznej, papista — napływu wyobrażeń bezbożnych, wolnomyślny — powrotu ciemnoty średniowiecznej. Według zdania naszych stronnictw jest teraz każde przeciwne stronnictwo u szczytu swego zwycięztwa. Winszujemy jakiemukolwiek trjumfatorowi!

Co do nas, my przyczynę tego złego nie widzimy w zwycięztwie któregokolwiek stronnictwa, ani w ogólności w istnieniu różnych stronnictw i zdań, lecz w namiętnem, sercowem ujęciu każdej rozumowej zasady przez swe stronnictwo, w wynikającem ztąd namiętnem rozdrażnieniu stronnictw przeciwko sobie, w osobistej nienawiści, z jaką stronnictwa i pojedynczy ich członkowie nie ścierają się i walczą z sobą lecz wzajemnie prześladują się, gnębią. Jedynym zaś przeciwko temu środkiem jest to, do czego zawsze i przy każdej okoliczności wzywać nie przestajemy, wykształcanie się umysłowe, oświecanie nie tylko ludu, ale czego jeszcze naglejsza potrzeba, oświecenia się tak zwanych oświeconych. Oświata, nauka, wskazuje nam możność i przykłady spokojnego spółistnienia różnych przekonań w świecie moralnym, jak różnych kształtów w świecie fizycznym, otrzęsłaby nas z śmiesznego wyobrażenia o potrzebie uniformowej jednostajności rozumów i zdań ludzkich — oświata, oświecając nas że nasza namiętna nietolerancja przeciwnych opinji sprzeciwia się naszemu własnemu dążeniu do swobody, czyni nas białymi czy czerwonymi terrorystami w imię wolności, dałaby nam poraz pierwszy poznać prawdziwie ludzki, humanistyczny liberalizm — oświata, przycierając rogi naszej zarozumiałości w bezwarunkową doskonałość i nieomylność naszego przekonania, uzdolniłaby różne stronnictwa do czynienia sobie wzajem koncessji, bez których niepodobnem jest wszelkie pożycie społeczeńskie, możliwym jest tylko absolutyzm półgłówków — oświata pierwszym swoim dobroczynnym promieniem wyjaśniłaby nam, że mniemane śmiertelne przeciwieństwo przeciwnych zdań, mogące niby tylko wytępieniem przeciwnego zdania zaspokojenie znaleść, nie leży w samych stronnictwach lecz w naszem własnem namiętnem, sercowem usposobieniu, w ślepym fanatyzmie, z którym chwytamy się i trzymamy swoich stronnictw, jako ostatniej deski zbawienia, jako jedynej „prawdy żywotnej". Tak, nie w samej naturze przeciwnych stronnictw, lecz w naszej własnej namiętności, drażliwości, brakiem oświaty spowodowanej niewyrozumiałości leży ta mniemana śmiertelna wrogość naszych sprzecznych przekonań. Odstąpmy ich sercem, zróbmy je tylko sprawą rozumu, a nie poświęcając wcale różnolicowości przekonań rozumu, znajdziemy kompromis łatwiejszym, niż sami tego spodziewamy się.

.....W końcu musimy dodać, iż wszystko, cośmy tu powiedzieli o potrzebie dania rozumowi przewagi nad sercem w sprawach rozumu, nieubliża bynajmniej sercu. Nie namto, narodowi zgruntu serdecznemu, zapierać się dobroczynności gorącego, czułego na wszelkie szlachetne natchnienia serca. Owszem nie o zaparcie się serca lecz o spotężenie jego w nas działania chodzi nam tutaj — o spotężenie go przez oczyszczenie serca od wszelkich różnorodnych namułów, od niezgodności połączonej z niezbędną różnolicowością zdań i przekazań rozumu. Z niezgodnością, z walką przeciwnych zasad i stronnictw na pole rozumu! Wsercu niech się nam święci zgoda i jedność! Rozumem bądźmy sobie przeciwnikami, bądźmy arystokratami i demokratami — sercem bądźmy wszyscy tylko Polakami, tylko braćmi. Póki to nienastąpi, póki będziemy dozwalać burzliwości serca zajeżdżać dziedzinę rozumu, a niezgodnemu rozumowi zatruwać swojemi waśniami serce—póty pozostaniemy młokosami rozumem, a rzędnymi starcami sercem.

DUMKA

Do przyjaciół.

Pod szum dąbrowy, pod wiatru szum,
Zdaleka do was dzwonię pieśniami —
Jeden, jedyny świat moich dum.
Rzewna tęsknota, za Nią, za Wami —
Gdy serce boli, duch zapomina
Że gdzieś tam wyższa duchów kraina.

Błądzę po stepach, śród pustych pól —
Do miłych wspomnień dumka przykuta —
A w oczach łzawo — a w sercu ból....
Toż się nie dziwcie: że smutna nuta,
Dumki me dziatki jednej boleści —
Toż się nie dziwcie — jednakiej treści.

Gdyby łaskawszy wrócił mię Bóg
Do Niej, i do Was moi rówieśni!
Lotny wędrowiec z tęczowych dróg,
Jakież bym nosił kwiaty — a pieśni!

Dziś dumka kwili — w lewo czy w prawo —
Tu i tam smutno, — tu i tam łzawo.

A ten jedyny świat moich dum,
Jak jesień smutny, blady, za mgłami —
Toż się nie dziwcie — pod wiatru szum
Zdaleka do was dzwonię pieśniami —
A serce kwili — w lewo czy w prawo
Tu i tam tęskno — tu i tam łzawo.—

W. Kmita.

O śnie.

Przez Władysława Z . . . .

(Ciąg dalszy.)

Kareta przemknęła popod sam ogrodowy parkan, tuż koło samej altany. W altanie już niebyło Herminy.

Czytelniku przyznaj czy może być co zwyklejszego nad opisaną scenę. Znajdziesz ją w każdem romansie, w Rynaldynim, w każdej bajce rycerskiej, w każdem pensum studenckiem, we własnej pamięci, słowem wszędzie i codzień. Przeto czuły czytelniku, co się działo w duszy Karola po pocałunku i odejściu Herminy, racz sobie we własnej duszy dośpiewać; a co się działo w duszy Herminy tego dośpiewywać niema potrzeby, gdyż wnet zobaczymy ją samą i dowiemy się dokładnie.

Przed gankiem stała kareta, i spienione rumaki trzęsły pierzastemi czuby najmodniejszego angielskiego zaprzęgu. Jenerał już był w salonie. Tam było dużo gości. Jenerała otoczono jako słońce, lecz Jenerał dzisiaj mniej mowny niż zwykle, mniej żołnierz, mniej polityk, mąż stanu, jakiś promień romantyczny, melancholijny oświecił twarz popielatą. Okiem dopatruje Herminy, odznacza ją grzecznościami swojemi. Czas uchodzi, pogoda — ogrodowe trawniki wabią ku sobie. Otworzono drzwi salonu, jak roje posypali się goście po złotych ścieszkach, po zielonych trawnikach, nad sztuczne i szumiące wodospady i pod Chińskie parasole. Daleko na krańcach ogrodu, śród cienistych powojów i winnej latorośli, altana... w altanie bieluchna sukienka Herminy rozścieliła się na darniowej kanapie, bo zbrojnego nie było kolana. Jenerał był w czarnym fraku, czerwoną wstążeczkę legji miał u lewego guzika, w ustach żuł wonne pastelki dla oddechu, w rękach więcej drżących niż zwykle, niewiem unużeniem czy uczuciem, trzymał oburącz ręce Herminy. Na srebrnej tacy wniosł służący w opiętych kamaszach w ogromnym, haftowanym sztalsklojdzie, futerał safianowy, zamknięty i położywszy go na kamiennym stole w altanie z lekkością i cichością sylfa lub dworaka znikł w cieniach dalekiej ulicy. Wtedy Jenerał u nóg Herminy jął za futerał, otworzył, pysznem okiem poglądał wewnątrz i ręką tryumfatora, ręką kochanka co wszystko najdroższe oddaje swej ulubionej, dobył srebrnego puhara i poniós ku pani swojej. Pysznie zaświecił puhar srebrnym połyskiem. Na nim w wytwornej płaskorzeźbie było miasto, w symbolicznych, kobiecych postaciach Wiktorja rozpostarła nad niem tarczę, Fama przykładała do ust trąbę cienką a długą wyginającą się dalcko okrągłemi ścianami kielicha.

Tego kielicha nie widziała dotąd Hermina, ale znała go z wieści, ze sławy, marzyła o nim dziewczęcą poranku i wieczoru tęsknotą, w złotych jego połysków odbiciu, jak w wieńcach laurowych jaśniała przed jej młodą wyobraźnią głowa Jeneralska i zatęskniła dziewczęca próżność do takiego skarbu.

Jenerał w jednej ręce trzymał podniesiony puhar, drugą ujął rękę Herminy a ściskając ją długo, wyraziście, patrząc oko w oko dziewczyny, trzęsąc szczeką w milczeniu z starości czy z uczucia, w tej chwili Jenerał był wzniosły — siwy bohater...

On mową milczenia
Toczył szczytne rozmowy.....

Hermina chwyciła puhar i jednym skokiem, trjumfu jąca i radośna poniosła do stóp matki, do grona gości swój dar, swą zdobycz.

Jenerał szedł wolniej. Przechodząc ujrzał po drugiej stronie klombu twarz Karola. W tej chwili jaszczurczej złości wyrazem zaiskrzyło się Jeneralskie oko. Odwrócił twarz zczerwienioną, on nienawidził tego młodego człowieka, nienawidził jego obrazu, jego cienia, jego obecności tutaj. Biada kogo uderzy taka błyskawica Jeneralskiego wzroku. Stary Jenerał miał krom szacunku obywatelskiego znaczenie u rządu.

Wnet oboje byli w salonie u stóp rodzicielskich. Tego dnia odbyły się zaręczyny Jenerała z Herminą.

Od zaręczyn do ślubu dwie staje. Pyszne było wesele Pyszne i radośne dla Jenerała, który aż trząsł się więcej niż wczoraj, aż wyładniał, takiej białości miał zęby i świeże mankiety; radośne dla Herminy, co z całą rozdętą próżnością kobiecą wstępowała w nowe życie tytułu, honoru, czci, co już oblana odblaskiem komeciej świetności Jenerała tuż za nim, widziała się panią salonu, królową towarzystwa. A kiedy Jenerał ujął poślubioną za rękę i wprowadził do adamaszkowej, najmiększej w świecie karety, kiedy angelska czwórka niknęła po szerokich niwach ku Jeneralskim włościom po pod ogromne, cieniste lasy, po nad szerokie stawów zwierciadła, pomiędzy sady i wsie ogromne, Jeneralskie dotąd, które obecnie wydały się już spólnem okazałem dziedzictwem, jakąż lubością oddychała pierś jej młodziuchna, myśl wesoła latała to wprzyszłość, to w okrąg i serce-ptaszek najcudniejsze piosenki szeptało bezustanku o mieście oblężonem, o pierścieniu, o Jeneralskim tytule i Jeneralskiej chwale. Cóż dopiero gdy na granicach tej wsi, która miała odtąd stać się jej nową sie-

dzibą ujrzała chorągwie, usłyszała dzwony bijące, gdy myśl ożywczą dla własnej duszy gromady z chlebem i z solą czekające, jak zboże wiatrem kłonione, z ćmą officjalistów na czele, wykłaniało i wykrzyczało jej powitanie, gdy wyprzęgnięto konie z karety i lud poddany sam piersiami przyciągnął nową panię do wystrojonego pałacu, o czem długo gadano w okolicy i sprzeczano się z dowcipną panną Józefą, czy Jenerał kazał ciągłą czy pieszą dać pańszczyznę za tę przykazaną gorliwość, odtąd Hermina Jenerałowa duszą i ciałem wyrzekła się do ostatniego spomienia przeszłości, a serce jej całe przystałe do obecnego stanu, do niezrównanej przyszłości.

Dziś dla Karola niebyło w jej duszy pamięci, jak wczoraj nie było uczucia. Ona dla niego obca i święta, od czasu zaślubin marzeniem nawet nietykalna, zjawisko przemknięte a najpiękniejsze, żałobą otoczyła duszę jego; lecz z dniem w którym ją stracił nie szukał jej więcej, uciekał od niej, od tęsknoty po niej, bo on nawet świętokradzkiem marzenia tchnieniem nie chciał owiać swojej świętej i białej, która stała się już własnością drugiego.

Długo nic o Karolu nie słyszano w świecie.

Tymczasem dzień po dniu jakoś to smutniej i tęskniej było młodej Jenerałowej. Listek po listku opadały jej śliczne rojenia zwarzone samotnością duszy, próżnią życia o której przedtem nie miała wyobrażenia. I nic w smak poszło wnet młodej duszy to życie w dużych komnatach z starym, utytułowanym towarzyszem. I smutno i coraz smutniej było jej w ogromnym pałacu, gdzie było tyle złota, wytworności i służby a wesela dla niej nie było, i w tym ogrodzie gdzie tyle śpiewało słowików i tyle było zieloności a świeżości i powabu nie było; i smutno jej było samej jednej ze swoją duszą młodą i spragnioną użycia, smutno było w komnacie, w ogrodzie, i smutno w starojeneralskiem łożu, i najtęskniej, najsmutniej w tem całem życiu, gdzie ujrzała się samotną i nikt nie podzielił jej smutku, nie uciszył tęsknoty.

(Dokończenie nastąpi.)

Korespondencja z nad Wisły.

Szanowny Redaktorze!

Czytając regularnie twój Tygodnik, przyszło mi też na myśl, także ci coś napisać; — nim atoli do materji przystąpię muszę cię z sobą zapoznać.

Trzeba ci więc wiedzieć, szanowny Redaktorze, iż jestem a raczej byłem szlachcicem z dziada z pradziada, a do tego urodzonym w Lodomerji, gdzie jaki taki plon na hrabiów i baronów, ale na jeniusze gleba kaducznie piaszczysta, bo lubo możemy się poszczycić, iż mamy wielu ludzi, którzy sądzą mieć od kolebki do tego prawo, ale (dobrze że jest na co złożyć) złe urządzenie publicznego wychowania niedozwoliło się tym jeniuszom przyzwoicie rozwinąć. —

Nie wątpię, że przy dzisiejszych .... reformach, jeniusze te, jak oliwa na wierzch powypływają jak to już tego mieliśmy nie małe przykłady; — wszakże ja, jako przedkonstytucyjny szlachcic, jestem sobie szlachcic i nic więcej, — do żadnej inteligencji należeć niechce, bo pożyczywszy ze znajomej bajki wyrażenia, powiem, że to postronki! — a powtóre, że mnie tatkowie nie na inteligencję, lecz na dziedzica uczyć kazali. — Nieprzewidywali oni na co to przyjdzie, to dziedzictwo!

Nazywam się Ruralis, to jest niby coś *rury i lisa;* rura niewiem zkąd się wzięła w mojem nazwisku, po mieczu czy po kądzieli? ale podobno po obojgu — lis zaś ztąd, że jak lis przed angielską psiarnią, tak ja przed psiarnią moich wierzycieli okładać muszę.

I bogdaj też tych panów magnatów, którzy do Lodomerji przywieźli z Anglji tę prawdziwie angielską modę szczwania par force, — oni nie uszczwali nic, a panowie brodaci wierzyciele przypatrując się z daleka temu polowaniu, w ten sposób dzisiaj szlachtę, swoich dłużników szczwają; i niejeden już szlachcic zkostniał wtej przed żydowskiemi buldogami ucieczce. . . . . .

Samo więc moje nazwisko, a nie mówię już okładanie przed wierzycielami, okazuje, iż moja rodzina dość licznie nie tylko w Lodomerji, ale nawet i w Galicji jest rozrodzona, — jeżeli więc piszę do Ciebie szanowny Redaktorze list *per modum* dziennika, racz go, jako dziennik połowy przynajmniej szlachty galicyjskiej uważać i tak szanownej twej publice polecić.

Otóż kiedy przed dwoma laty, po dwuletniej niebytności powróciłem do domu, znalazłem sposobność nauczenia się dwóch reguł z tablicy Pitagoresa, bo niedopalone zgliszcza budynków, zrabowana gorzelnia, dom i obora wyćwiczyły mnie w odejmowaniu, mnożenia zaś się nie nauczyłem, licząc moje interesa, zrozumiesz przecie szanowny Redaktorze, iż kiedy szlachcic mówi że ma interesa, to się znaczy że ma długi — otóż te interesa, któremi mnie najprzód Bóg, a potem powstanie, tak nazwane *ludowe* obdarzyć raczyło.

Nie trudno zgadnąć, że się znalazłem nie w bardzo miłem położeniu, i byłbym się może oddał rozpaczy, gdyby nie ta pociecha, że właśnie wtenczas darowano pańszczyznę, żeśmy się zrównali i zbratali z poczciwemi chłopkami, z poczciwemi żydami, a nadewszystko Bóg wie tam jeszcze z jakiemi poczciwcami.... —

Ale przedtem, jako Ruralis, wykrzyknąłem za innymi niewiedząc dla czego: „Niech żyje zgoda i braterstwo!” i oddany zupełnie poczciwym chłopkom, zapomniałem o jeszcze poczciwszych wierzycielach; a jeżli czasem mi te widma

przed oczy stanęły, to stosując się do ówczesnego rewolucyjnego *ducha czasu,* zanuciłem rewolucyjną piosenkę „ça ira! a ira!” i rozmarzony o pomyślności ogółu, zapomniałem o długach mojego szczegółu.

Otóż kiedy jednego pięknego poranku ubrany w arcypiękny mundur Gwardji narodowej, uzbrojony w pałasz i drewniany karabin jadąc bryczeczką na musztrę, najpiękniej sobie marzę o tem, kiedy też mi to dadzą karabin żelazny, zastępuje mi drogę jakaś pospolita na chudym koniu figura, coś niby z Waszecia, i dobywając ze skórzanej torby jakiś plik papierow, po łacinie zapisanych doręcza mi go; nie trudno mi było poznać pana Woźnego sądowego, a choć wcale po łacinie nie umiem, zwąchałem pismo nosem, i rzekłem:

—Mości Panie! ja nie umiem po łacinie! . . . .

—Nic nieszkodzi . . . . odrzekł pan Woźny sądowy, i treść dla niego najważniejszą wytłumaczył mi temi słowy: »*Viales admanuanti ministeriali statim solvendae.*”

Nie było rady, wypłaciłem panu Woźnemu podróżne, i odbywszy z kwaśną miną musztrę gwardjacką, pojechałem natychmiast do stolicy, iżby zasięgnąć rady.

Po kilkodniowym oczekiwaniu, bo mój mecenas był członkiem rady, Towarzystwa braci, klubu lokajów i wielu jeszcze innych towarzystw i wszystkie koncepta tak na posiedzeniach wyekspensował, że nie zostało nic na posłuchanie, — musiałem tylko poprzestać na wytłumaczenie mi owej łaciny; lecz powróciwszy do domu zastałem komornika, który z najzimniejszą krwią mi oświadczył, że nie tylko moje ruchomości zagrabi, ale jeżeli te nie wystarczą, weźmie nawet mnie samego *ad capturam.*

Napróżno przekonywałem go, że to się nie zgadza z Duchem czasu, że się sprzeciwia równości, — bo cóż to za równość, gdzie mnie grabi komornik, a ja komornika niegrabię, — że się sprzeciwia braterstwu, — bo jakiż mi to brat, co mnie bierze do kozy, — że się zresztą sprzeciwia wolności, — bo i cóż mi to za wolność, kiedy mi niewolno długów niepłacić! — Wszystkie te moje słuszne argumenta odbijały się od kamiennego serca pana komornika, któren jako zupełnie niepostępowa figura, ani się znał ani chciał znać na filantropicznem usposobieniu ówczesnego świata.

Udałem się więc do żyda wierzyciela, czyniłem mu różne przedstawienia, obiecywałem gruszki na wierzbie, to jest, że jak otrzymam indemnizację za pańszczyznę, to go zaspokoję, — ale on w brew oczekiwań całego kraju utrzymywał, że wynagrodzenie, to są zamki na lodzie, i że kto na nie liczy, to się przerachuje. Pokazywałem mu zresztą pszeniczkę na łanie, pusty budynek w którym niegdyś była maszyna gorzelniana, zresztą owczarnię, w której owiec nie było, ale to wszystko być miało, krótko mówiąc układałem się tak zgrabnie i zręcznie, jak to moi wszyscy bracia w Galicji i Lodomerji robią, — a muszą to nieźle robić, kiedy aż w przysłowie weszło, że nasza szlachta doskonale jest ułożona, — a toż to przecie tego nigdzie się nie nauczyli jeno układając się z wierzycialami.

I ja też nie od dzisiaj mając to ułożenie, starałem się z niem jak najlepiej przed żydem popisać — ale naprózno!... i uważ szanowny redaktorze, byłbym w tej roli takie uczynił fiasko, jak pan Rogalski w *Córce Miecznika*, gdyby nie wrodzona jenialność, która im jest potrzebniejszą, tém bliższą mi zawsze: — począłem tedy puszczać do żyda szanownego Obywatela, współrodaka i tym podobne tytuły, a nawiasem dodałem, że licha to jeszcze ta nasza rewolucja, kiedy żydów nie wieszają. Te dwa diametralnie sobie przeciwne argumenta, tak trafiły do jego przekonania, że interes ten skończył się za pół godziny, i w takim dobrym stanie wytrwał aż do bombardowania Wiednia, — potem cokolwiek się znowu pogorszył, ale kiedy w Węgrzech siły zbuntowanych Madziarów miały się około 200000 żołnierza, i stały na pięknym kawałku ziemi, to mój interes znowu się polepszył; — tak to Mości Redaktorze, i u żydów wierzycieli polityka ma swoje znaczenie.

Wszakże nauczony tem smutnem doświadczeniem, począłem więcej o moich interesach, zawsze w jednem i tem samem znaczeniu wziętych przemyślać, a było też nad czém, bo trzeba ci wiedzieć Redaktorze, iż zapłacenie długów dziś równem dla szlachcica zadaniem jak wynalezienie kwadratury koła. Wziąwszy zatem za godło »Audaces fortuna juvat”, obliczyłem moje activa, ten rachunek niedługo mnie zabawił, i jąłem się obeznawać z passivami, czegom, ażeby prawdę powiedzieć, jeszcze do dziś dnia nie ukończył. Jenialność atoli i imaginacja jak we wszystkiem, tak i tu stanęły mi na pomocy, — wyobraziłem więc sobie, iż jestem ministrem finansów i zacząłem sobie głowę łamać nad budżetem mojego państwa będącego w finansowej agonji.

Zwróciłem tedy całą moją uwagę na gorzelnię — produkcja, konsumcya!... tak długo więc mi się to marzyło, tak długo koło tego chodziłem, aż w końcu dnia 1. Listopada posłałem zawiadomienie do straży finansowej, że moją gorzelnię w ruch puszczam; przyczem obliczyłem, iż płacąc dziennie po 36 ćwiartek akcyzy przez 6 miesięcy około siedem tysięcy ćwiartek oddam rzeczywistemu ministrowi finansów, które mu także zbędnemi nie będą, wszakże zostanie mi jeszcze wiele czystego zysku. — Ale pokazało się niebawem, że *les beaux esprit se rencontrent*, bo i pan minister finansów zwrócił swoją uwagę na gorzelnie i podniósł podatek od wyrobu; podbiegł mnie tedy pan minister... Lecz niestraciłem przeto odwagi, — . . . .

Czyż mam ci opisywać kochany Redaktorze, jak do mnie przyszedł w czamarce, w kapeluszu, w rękawiczkach ów jegomość, co się wybornym nazywa gorzelnikiem, — jak

obaczywszy maszynę z lekceważącą miną najpewniej obiecał dać po trzy garnce z korca a nadwyżką się podzielić,— jak tedy pokazało się niebawem, że mi dał tylko po dziewięć kwart i jeszcze na to spekulował, aby się ze mną podzielić,— jak na moje najpokorniejsze żale, uciął mi z kotła prelekcje, o lichych pokonstytucyjnych kartoflach, o wodorodzie, o djastazie słodowej, o Gummie, Glutenie, węgliku, kwasorodzie i Bóg wie o jeszcze jakim tam rodzie... bo ja z tego wszystkiego tylko jeden ród pamiętałem, a to przebrzydły mi ród gorzelników, który mi wszystkie moje nadzieje zniszczył, i do powtórnego układania się z wierzycielem przymusił.

Takto szanowny Redaktorze! w życiu naszem same zawody;— szlachcić się zawiódł na gorzelni, intelligencja na czemże?—a! na własnej intelligencji — a i ty zapewne się zawiodłeś, odbierając bowiem mój list spodziewałeś się w nim zastać albo uczony artykuł, albo nową prenumeratę— ani jedno ani drugie! szanowny Redaktorze! wszakże prosząc o pozwolenie pisywania częściej do ciebie, bo jakoś mi lżej na sercu, kiedy z mądrym człowiekiem pogadam, to jest kiedy on mnie słucha a sam nic niegada, polecam się twojej pamięci i zalecam oczekiwanie drugiego odemnie listu. — Straciwszy wszystkie przywileje, zawsze jestem szlachcic.

Dezyderyusz Ruralis.

Niektóre dzienniki Wiedeńskie zawierają korespondencję z Bochni dziwiącą się, (befremdet) nad Artykułem *Tygodnika Lwowskiego* o złej Polszczyznie dziennika ustaw. Korespondent ten nie zastanawia się nad tem czy zdanie nasze jest uzasadnione, czy jest mylne lub prawdziwe, tylko nad tem że można upatrywać błędy w polskim texcie dziennika ustaw, gdy tenże jest redagowany przez professora języka polskiego w Wiedniu, którego gdzieś kiedyś niezmiernie wychwalano. Wniosek korespondenta iż professor polskiego języka *powinien* dobrze umieć po polsku jest słuszny, to jednak niedowodzi czy tenże swojej powinności rzeczywiście sprosta.

Pan professor języka polskiego w Wiedniu jest osobą nieznaną zupełnie w polskim swiecie literackim lub naukowym, wiemy tylko że żaden polski gramatyk lub literat tego miejsca nieotrzymał. Zdaje nam się zaś iż obok *Miklosicha, Kopitara i Kollara,* ludzi z europejską sławą, powinienby i dla polskiego języka być nauczyciel wybrany który jeżeli nie w Europie, to przynajmniej w swoim kraju znany jest z biegłości w języku, choćby nawet niebył gramatykiem z zawodu; na tem powinno akademji wiedeńskiej więcej zależeć niż nam. Wszakże jeszcze żyją *Muczkowski, Suchecki, Łazowski, Deszkiewicz* w kraju, po których jakkolwiek byśmy o ich dziełach sądzili, prędzej się spodziewać można dokładnej znajomości języka niż po niewiadomym nam p. professorze wiedeńskim.

Prócz tych spomnionych gramatyków z zawodu jest wkim wybrać między polskiemi literatami, a zdaje się że professorem polskiego języka i literatury niekoniecznie gramatyk być musi. Podobno *Bielowski, Szajnocha* i wielu innych odpowiedzieliby także temu miejscu. Professor polskiego języka i literatury we Lwowie p. *Szlachtowski* potrafiłby nim być i w Wiedniu. A nareszcie mamy dwóch jedynych w swoim rodzaju badaczy języka tj. p. Jana Nep. *Kamińskiego*,którego badania aczkolwiek trochę fantastyczne, swiadczą o głębokiem zastanowieniu się nad istotą języka; p. *Szrzeniawę Sartyniego* którego dzieło zyskało uznanie najuczeńszego z dzisiejszych filologów: *Boppa*, choć niepozyskało tego uznania u nieuczonej publiczności.

Tyle na dowód iż było w kim wybrać professora polskiego języka w Wiedniu, nawet gdyby wykład niemiecki stawał trudnością (bo Sartyni pisał po niemiecku a z tamtych każdy włada mniej więcej tym językiem).

Niewiedzieliśmy że redaktor polskiego textu dzien. ustaw i professor języka polskiego w Wiedniu jest jedną i tą samą osobą, i wdzięczni jesteśmy korespondentowi za to wyjaśnienie. Bo z niepoprawności polszczyzny w dzienniku ustaw możemy wnioskować o zdolnościach p. Professora języka polskiego przy uniwersytecie Wiedeńskim, i o tem ile prawdy jest w szczęśliwych horoskopach, które rozmaite dzienniki nam stawiają.

O Malarzach lwowskich.

(Ciąg dalszy.)

Korneli Szlegel z wielkim talentem łączy większe zamiłowanie i oddanie się sztuce, niezmordowaną pracę i żywe przejęcie się narodowemi dziejami i zwyczajami przodków. Ze wszystkich naszych malarzy jemu jednemu nie możemy zarzucać marnowanie czasu. Już znamy kilka jego obrazów zasługujących na uwagę powszechną; a droga na którą się rzucił tak okwita, tak bogata i zajmująca, że mamy nadzieję przed całą Polską pochlubić się pięknemi utworami jego pęzla, jak dziś szłusznie stawiamy go w pierwszym rzędzie krajowych malarzy.

Ulubionym przedmiotem p. Szlegla są obrazy rodzajowe, obyczajowe. Zwykle bierze charakterystyczne sceny z powieści więcej znanych w literaturze, doskonale je pojmuje, ożywia mocą twórczej wyobraźni i w całym uroku pięknej plastyki stawia nam przed oczy. Znamy jeden tylko historyczny jego obraz: Posłuchanie u Jana III.; obyczajowe zaś: Polonez z *Pana Tadeusza*, Trembeckiego ze Szczęsnym Potockim z powieści *Ogrody i poeci* Luc. Siemiń-

skiego, Miecznik z *Marji Malczewskiego*, Marjasz, taniec w lesie przy pasiece; zaczęte Puławski na chrzcinach i jakiś mały rodzajowy obrazek, po całem ułożeniu grupy i sposobie malowania sądzę że będzie w tym guście co Marjasz.

Z kopij jego znamy Madonnę *Rafała*. Utwor ten pełen natchnienia, pełen twórczości jest jakby wzniosłą modlitwą do Bogarodzicy. W zachwycie nabożnem ze łzami w oczach musiał go mistrz tworzyć — P. Kornel dał nam poznać prześliczną, prawdziwie mistrzowską kopię. Ogrody *Vatteau;* tu byśmy zarzucili że koloryt trzymany za ciemno. Mały obrazek niderlandzkiej szkoły, z dobrem użyciem światła i piękną perspektywą.

Oryginalne prace p. Szlegla. Posłuchanie u Jana III, jeden z najpiękniejszych jego obrazów. Szczególnie zasługuje na uwagę harmonijna całość w kolorycie i świetle, chociaż i tu nie bardzo się zgadzamy z tym żółto-zielonym kolorem sukni damy dworskiej, jest za nadto, że się tak wyrażę, krzyczący; szczególnie przy tem cudnem tle, bo tło obrazu jest tak piękne, że nic już życzyć nie wypada, całe jest doskonale utrzymane w szarych kolorach. Do najwyborniejszych postaci należą: klęczaca, posła Wilczka w czarnym ubiorze z koronkami, kardynała w gronostajowej pelerynie; bardzo ładna Polaka słuchającego żołnierza i Jezuity; co do głównej figury Jana III, ta się nam nie podoba. Widać malarz bardzo się trzymał portretu, dlatego dał tak sztywną postawę Janowi, dla tego król ma obojętną twarz i nie jest zajęty zupełnie akcją — widać z wyrazu że myśli; ale zdaje się o czem innem niżli w tej chwili powinien. Kobiety są bez gracij i nadto wymuszone. Główne osoby jako król, Marja Kazimira, Wilczek, kardynał są bardzo starannie kopiowane z portretów co nadaje obrazowi więcej historycznej wartości. Technika, szczególnie malowanie złotogłowów i ciężkich materji na sukniach jest bardzo piękne, ale i w tem malarz zgrzeszył w głównej figurze, płaszcz na królu Janie nieznośnie łamie się pod ręką i nadto jest ciężki. Nad obraz opisany przenosimy Polonez. Co do przedmiotu jest przyjemniejszy, łatwiejszy do wykonania, albowiem rzecz się dzieje pod gołym niebem, i niema tyle szarych kolorów. Mamy przed sobą cały łańcuch par w poważnym polskim tanie. W pierwszej parze Zosia w stroju wiejskiej dziewczyny z sierpem na głowie, ze spuszczonemi oczkami; całą tę anielską postać starał się malarz odtworzyć podług Mickiewicza. Dalej kilkanaście par, kobiety wszystkie we francuzkich strojach, męszczyzni w kontuszach i mondurach. Po prawej stronie obrazu muzyka: Jankiel grający na cymbałach i młody ułan, Smyk, niegdyś kochanek Zosi, smutny, zamyślony. Tło obrazu stanowi dóm sopliców ocieniony drzewami, na lewo zwaliska zamku, wyżej niebo pogodne wieje spokojem i ciszą. Do najdoskonalej pojętych postaci w tym obrazie liczymy, Jankiela, Smyka i Telimenę; koloryt i światło także bardzo się podobają tylko pary które są w cieniu za nadto już ciemno trzymane; w ogóle u p. Szlegla w cieniach predominuje asfalt, tak że często twarze jego osób wyglądają prawie czarne, a przez to nie mają tej świeżości, tego przezroczystego ciała, jak np. widzimy w portretach Rajchana. Kobiety są za nadto sztywne, manierowane, nie mają tych wolnych ruchów, tej naturalności i swobody, które tak miło widzimy. Radzilibyśmy więcej zapatrywać się na naturę. — U nas szczególnie tyle mamy pięknych kobiet, że malarz nie może uskarzać się na brak wzorów.

Mniejszej jest wartości, choć także bardzo ładny obraz: *Ogród*. Przedstawił nam malarz Zofijówkę w chwili gdy Trębecki czyta Potockiemu swój poemat. Kozak za krzakiem zaśpiewał znaną dumkę: »Oj ty pane Potocki wojewodski synu« powstaje zamieszanie. Poeta opuszcza na ziemię poemat i mówi w tej chwili: »Vox populi vox Dei« całe towarzystwo strwożone, służalce biegną wypędzić i skarcić zuchwałego kozaka. Wszystko to bardzo piękne, ale wymaga koniecznie komentarza; a obraz sam za siebie mówić powinien. Cóż jeśli go zobaczy ktoś, co nie zna tego zdarzenia? Co sobie pomyśli o całej tej scenie? Czy wpadnie na domysł konieczny, że kozak za krzakiem, tylko spiewem obraził szanowne towarzystwo? Jest to często błąd najznakomitszych malarzy, szczególnie Wiedeńskiej szkoły, że malują nam sceny potrzebujące wykładów i komentarzy. Prócz tego nie ma jedności w tej całej grupie, pojedyncze postacie są prześliczne, pełne życia doskonale prawdziwe, ale do uzupełnienia całości brakuje celu głównego, akcye porozrywane. Szczególnie pięknie jest rysowana i malowana kobieta mdlejąca, Trębecki. Koloryt, pejzarz malowany w guście Vatteau nie zostawiają nam nic do życzenia.

Marjasz, niewielki obrazek rodzajowy; przy stoliku staruszkowie grają w karty i częstują się tabaczką. Młodsza para tuż przy nich. Ubiory przypominają Stanisławowską epokę. Twarze bardzo charakterystyczne i pełne wyrazu, koloryt ciepły i żywy.

Portrety p. Szlegla są malowane śmiało, z pewną rutyną, ale trochę za surowo, nie mają tej lekkości, życia jak portrety pana Rajchana. Sądząc z wyrazu, ze szczególnych charakterów, bardzo muszą być trafione. Widzieliśmy zaczęty obraz Puławski na chrzcinach, z gawędy W. Pola. Myślimy że ten obraz będzie należał do najlepszych. Dziś już jest piękny. Puławski, kozacy pijący; chcielibyśmy wypędzić pieska, co zupełnie niepotrzebnie figuruje na przodzie obrazu; zresztą nie jest nawet naturalny, bo w całym pędzie nie zważając, że nie ma miejsca.

Gdyby nie zakres pisma rozgadalibyśmy się obszerniej o naszych malarzach, a tem szczerzej że znamy ich sposób myślenia; wiemy że nie wzgardzą uwagą, nie obrażą się sumiennem zdaniem, ba nawet może sprostują gdzie nasze mylne widzenia, skąd i dla nas i dla publiczności widoczny pożytek, a dla wielu pracujących w tym zawodzie obrok duchowny.

(Dokończenie nastąpi-)

Wydawca: **Karol Wild.** Redaktor: **Karol Widmann.**

Drukiem prassy pospiesznej E. Winiarza we Lwowie przy ulicy krakowskiej pod l. 77.